

Melchjor Wańkowicz

Nowotrzeby

W niedługim czasie ukaże się nakładem „Raju” książka Melchjora Wańkowicza „Szczenięce lata”. Poniżej podajemy z niej wyjątek. (Red.)

Po śmierci rodziców „opieka”, złożona z dwóch poważnych sędziów, wysłała mnie, jako dwuletniego dzieciaka, z ojcowskich Kaluży w powiecie iłumeńskim ziemi mińskiej — do majątku babki w Kowieńszczyźnie, „bo to, panie, odpowiedzialność chować chłopca przez guwernerów, a do tego jeszcze „Melchjorowicza”.

Trzeba wiedzieć, że Wańkowiczów było jak „rojstu” (*) w Mińszczyźnie i wygodniej było przezywać ich od majątku, albo, jeżeli imię ojca było rzadkie, z ojca.

Poważne sąsiady na nas, Wańkowiczów kalużańskich, miały poglądy wyrobione i niezłomne. Mój najstarszy brat, Czesław, ugarniował sernikami, na „stajni” u solidnego profesora, sufit i huknął ze strychu domu „klasnego nastawnika” jakąś drewnianą figurą. Pedagog tyle że się strachu najał, ale biednego Czesia musiano przenieść do Wilna. Co w Wilnie zrobił — niewiadomo, ale według wersji starszego rodzeństwa ojciec miał z nim w gabinecie długą rozmowę, potem zaprowadził go do alei pod figurę, gdzie stała lawka, na której tradycyjnie pokolenia brały basy — poczem Czesia zesłano do Chyrowa.

Jużcie Chyrów musiał zdać się „opiecc” końcem świata, — były to zagorzałe domatory.

Pewnego razu ojcu udało się wypchnąć czterech sąsiadów na Wystawę Paryską, sam zaś pojechał w tydzień po nich. Zastał ich w Paryżu w hotelu... różnego w winta. Natychmiast po przyjeździe ze swego iłumeńskiego powiatu rozstawili stolik i nie zdążyli być ani razu na wystawie.

Majątek babki, matczyne Nowotrzeby, był ongiś od książąt Giedroyców kupiony, a położony w pięknej dolinie Niewiaży o szesnastu wieśtach od Kowna, wydzierżawiany był od czterech pokoleń w rządach matryjarchatu, tak się bowiem składało, że przechodził w linij kobiecej z matki na córkę, z babki na wnuczkę. A że dziedziczki żyły krzepko i długo, rękę zaś miały twardą i zwyczajnie starodawne, zachowały się w Nowotrzebach obyczaj, żywcem przeniesiony z początków XVIII stulecia.

Nawprost ganku, nie takiego tam „polskiego” ganku, jak bywały we dworach na mazowieckich piaseczkach — z filarkami, ale tegiego, szklonego weneckimi oknami, gdzie pod sufitem lepiły się jaskółcze gniazda, pod ławkami legiwały kundły, a po stołach, jak dzień długi, suszyły się wieczne jakieś rumianki, jakieś żywakosty i inne gospodarskie ingredjencje — nawprost ganku tego była siła ogromna, ciemna, chłodna zawsze.

Nie dałoby się, mimo wszelkich ehęci, „hallem” jej nazwać, jak w ojcowskich Kalużach. Sien to była prawa, obstawiona olbrzymimi przepastnymi szafami. Jako mały chłopak, urządzając pośród zwalów dziedzicznych tunaków i popielie wigwam w przepaściach szafy, rozmyślałem, że zapewne najprzód ustawiono szafę, a potem wkoło niej „obudowano” dom.

Dom bowiem sam był niski. Belki podpierały sufity, do których można było ręką sięgnąć. Futryny drzwi, na których wisiły przybite blachy towarzystwa asekuracyjnego, były tak niskie, że wysocy goście rzęśli o nie głowami nieoprylnie, ku naszej nieopisannej radości.

Z sieni owej na lewo szło się do dużego stołowego pokoju, gdzie długi, jak plant kolejowy, stół, kryty ceratą, biegł aż pod przysłoniętą ścianę. Na ścianie tej od góry do dołu wisiły święte obrazy a pomiędzy nimi ogromny krzyż z relikwiami świętych: stołowy bowiem pokój w dni adwentu, wielkiego postu i innych uroczystości był miejscem codziennych modłów.

*) Ładne bagniska, trawą porosłe.

Przy ścianie podłużnej był znowu ustawiony sprzęt-olbrzym — szafa z trzech przeszł, o trzech drzwiach, jak wierzeje stodoły.

Pochodzenie tej szafy było następujące: Prababka — z Pohoskich (ze skonfiskowanego Szopowa) Baczymalska — tak kochała swe córki, że nie chęła się z nimi rozstawać i w noc, kazała zrobić szafę z trzema przeszłami, drzwi miały u dołu zawiasy i na noc opuszczały się wraz z posłocią. W tej szafie nieraz struchlałe panny się chowały, gdy słynny pasjonat, wiodący się z Tatarów, pułkownik Baczymalski, wracał zezło-

szony do domu. Dom wtedy pustoszał i jedynie żona odważała się wychodzić go spotykać, czasem nawet z obrazem świętym w rękę.

Za pierwszymi drzwiami tej szafy chowano herbatę, cukier, różne tam żelatyny i cynamony. Była to domena rezydentki — panny Agaty, której jedyną ważną czynnością było zaparzanie herbaty i rąbanie cukru z głowy. Za drugie drzwi — „odstawiano z obiadu”. Tam to się biegło koło piątej z otrzymanym od babki, wyszłiganym przez lata, kluczykiem.

Klucz otrzymywało się niezmieniacz z dwoma napomnieniami: „Kreca, ciągnij do siebie” i „Nie łasuj zanadto”.

Trzecia część szafy, to były wódki i wina. W onym wieku interesowały mnie mało, o tyle chyba, że się wykładało stamtąd biszkopty i czasem udało się ratlerkowi babki wlać w gardło kieliszek wódki. Piesek jechał wówczas nosem przez wszystkie pokoje i mordał ogonkiem, co babkę napawało niezmierną rozterką: „Wścieki się, czy nie?”.

Z jadalnego szło się do kredensu,

gdzie rezydował lokaj i jadała służba. Jadali „abraduki” — kluski z grubej maki z słoniną, „skrydle” — z takiejże maki placki, ociekające tłuszczem i twarde, jak skóra, „szpekuchy” — pierogi, których cienką powłokę rozdymała masa gorącej słoniny, „szwilkiki” — placki, pieczone w piecu z gotowanych kartofli, „kekory” — takież placki, nadziewane różnym nadzieniem z mięsa, warzyw i sera — wszystko to pływające w roztopionej słoninie, lub zalane sosem, zwanym „mizgutia” (słonina z podsmietaniem); wreszcie nie wiem czemu z polska zwany

„maćkiem”, ale piekielnie litewski wymysł — łój barani, zakreple między dwiema warstwami ciasta.

Specjalnem świętem było „skierstuwie” — bicie wieprzy, kiedy cały dom objadał się „wiadorami” (kiszki nadziane tartem surowymi kartoflami) i „szupienią” (kasza z pęczaku, gotowana na ogonach wieprzowych).

Na zimę przygotowywano dla czeladzi tak zwany „kindziuk” czyli „składz” (ten ostatni termin ma być polski) — brzech wieprzowy, tęgo nabity obrzynkami mięsa, zaprawiony saletą i korzeniami, i wędzony.

Te przysmaki, pojawiające się na „drugim stole”, były nieodwołalnie przynoszone na pierwszy stół jako przystawka, znajdująca entuzjastów.

Ów pierwszy stół był tłusty, obfity, ciężki, ale poza kołdunami, ogórkami z miodem, kisielem i paru innymi podobnymi rarytasami, mający powszechnie na świecie używane potrawy. Tylko nazywały się one specyficznie i dopiero wyruszywszy w świat, z mozołem musiałem się uczyć, że np. „Pani Nowakowska” nazywa się szarlotką, że „Panna Regina” nigdzie nie nazywają smakowitej zresztą leguminy z kremu, kryjącego czekoladę przetartą z chlebem razowym, itd.

Do źródłostwa „Pani Nowakowskiej” dobrnąłem; okazało się, że „za nieboszkiej pani Szemiotowej” (siostry prababki, jednej z tych, co to sypiały w szafie) koczem „w gości” przyjeżdżała taka pani z Warszawy i nauczyła robić szarlotkę.

Ze stołowego i kredensu szło się dalej — do części służbowej domu. Bra to jego część przybudowana w kłitki i w składziki, w spiżarenki, komórki, kładowki obfita, dostępna „ludziom”, półdzikim kotom, żyjącym na strychu, w których plonące w ciemni oczy waliło się z rewolweru, pacon — ogromnym szczerem litewskim, na które stawiało się przemiślnie „pastki”.

W „dziewcząt pokoiku” od pułapu zwisały pęki brozowych miotł, na które ku wieczorowi siadały senne muchy, zgarniane zdradziecko w worki. Okna tu już wychodziły na „trzaśnik” (drwalnię) z jednej strony, na spleatany zielony sad z drugiej. Fioletowe od słodkiego ciężaru, napierały galezie sliw na gorące w słońcu okna. Tutaj przed wieczorną chwilą rozgwarzały się kłechdy o „ragana” — czarownicy i o zakłętą pannę, której pałac, zapadły w ziemię („piłkalnie” — grodzisko), znać odległy o dwie wiorsty kurhan, o czarodziejskim „zmogusie”, tu dzwoniły smętne Siejau ruta, siejau mieta, siejau liliejka albo skoczne:

Jurgis, Jurgis imk mania
Tu ne gaus: geresnia
(Jurgis, Jurgis, weź mrie
Ty nie znajdziesz lepszej).

albo polskie, np.:
Ulica Kościelna, a dom numer trzeci,
Zabił pan Wiszniewski żonę, troje [dzieci].
Nad panią Wiszniewską wszystkie [dzwony] biją,
Nad panem Wiszniewskim stare wilcy [wyja-]

albo wesole:
Ty pan Jan, ty pan Jan, a ja panna [Anna],
Ty bogaty kuwalerze, a ja biedna [panna],
Ty myślałasz, panie Janie, co ja [cięż] kokała,
A ja ciebie, panie Janie, za durnego [miała].

Tu też odbywały się dyskusje. Pamiętam spór o znaczeniu szlachectwa. Negował je syn ogrodnika przy wyraźnej aprobachy wieksości. Zaperzona stara Jankowska, szlachcianka, użyła nieodpartego argumentu: „Wszak Matka Boska była szlachcianką”.

— Jakto?
— A czyż nie mówi się w litani: „Panno Szlachetna”?

Opozycja umilkła.

Aż wreszcie te część domu kończył pokój panny Agaty, „składzikiem” zwany, gdzie pośród olbrzymich wyprawnych, żelazem kutych kufrów, rezydowała sztywna i kostyczna stara panna, przepędzająca nas, niby stado wróbli, skrzęconą w ryty ścieśką.

Aleksander Sendlikowski

Odnajdywanie „utraconej” ojczyzny

Jest to wprost kracicowa ignorancja. Tak zwany „człowiek inteligentny”, który taki wyrobił sobie sąd o otaczającym go świecie, i wie conieco więcej ponad to, że współczesne Niemcy — są brunatne, a np. Francja, to kraj spokojnych pacyfistów i ostrych rentjerów, ten sam człowiek rozkłada bezzadanie ręce, gdy mówi się coś o nowej Rosji, Sowieckiej. Jest w tem nietylko ignorancja, ale i tępota, brak odwagi do rozważenia rzeczy nowych.

— No cóż Rosja, bolszewicy, komuna...

Tylko tyle.

Tylko tyle wie przeciętny obywatel o kraju, który z Polską graniczy na przestrzeni 1412 klm., a siłą swej masy ciężać musi gospodarczo, politycznie i kulturalnie na naszym życiu, na układzie sił i stosunków.

Cóż wymagać od robotnika, czy bezrobotnego, który poddaje się wpływowi komunizmu? Czem jest nasza kontrpropaganda? Samą tylko negacją. Czy nie byłoby możliwem agitować przeciwstawiając utopijom „sowieckiego raj” — rzeczywistość. Ale nie tę, którą się wybiera do broszur propagandowych. To, co się dzieje obecnie w Rosji, co dzieje się już od 3 — 4 lat, wskazuje wyraźnie na zupełną niemożliwość zorganizowania życia według recepty komunistycznej. Komunizm był tylko plugiem, przeorał zeschłą skorupę, przerzucił nawarstwienie, umożliwił skok naprzód. Czy sama orka wyszarża, aby wyjść w pole po zbioru? Nie! A więc trzeba było zaszewu, możelnej uprawy. Czy dał to komunizm? Także trzeba zaprzeczyć. Ani „piatiletki”, ani nawet sama organizacja życia politycznego (dyktatura Stalina, a nie proletariatu). Ekspertyment komunistyczny tam, gdzie próbowano go stosować, okazał się niemożliwy. Chociażby akcja bezbożnicza, chociażby stosunki rodzinne, całkowite skasowanie indywidualnego życia, jakiegokolwiek własności.

Czy więc komunizm jest materjałem na eksport, czy może nam zagrażać? Nie. W Polsce, ani w krajach Europy niema, jak to było w Rosji przedwojennej, zakrzepłej skorupy stosunków, którą trzeba ostrym, głębokotnącym plugiem przeorać. Dlatego komunizm nie przyjął się u nas i nie przyjmie. Państwo, naród zorganizowany, ma dostateczne środki stłumienia ruchu, który nie wynika z jego wewnętrznych konieczności. Państwo powinno tu używać ostrych, bezwzględnych środków.

Musimy i możemy natomiast mieć otwarte oczy i na to, co się dokonywa poza naszą wschodnią ścianą. Nie potrzebując orki komunizmu, możemy skorzystać z wielu doświadczeń siejby i zbioru, odrzucając część negatywną, trzeba patrzeć na zdobyte pozytywne. Musimy przedewszystkiem zwrócić uwagę na tempo pracy. Czy nam nie imponuje?

Czy nas nie powinno uczyć? Czy wobec kolosalnego napięcia woli dokonania, przełamania oporów w Rosji dzisiejszej — nie wydaje nam się czasami, że zanadto zwolniliśmy własne tempo — że zadawałamy się minimum, mogąc i mając warunki do osiągnięcia maksimum?

Dnieprostrój — najnowocześniejsze turbiny w Europie, traktory z Charkowa i Czelabińska, automobile z Gorkij — przewyższające o wiele nasze zdobycze. A wszystko to: traktory i automobile, produkcja jednolita, serijna, nie na pokaz, na wystawę.

Przy tej oszałamiającej przebudowie szóstej części świata, z konglomeratu ludów i szczepów, w ciężkiej wspólnej walce i gromadnej pracy powstaje, tworzy się zblizony, choć niejednolity etnicznie naród, który w „Izwiestjach” Radek nazwał „narodem sowieckim”. Międzynarodówka idzie widocznie, razem z marzeniami o uniwersalizmie komunizmu na emeryturę, a może na wygnanie.

Kto czytał opisy przyjęcia przez ludność rosyjską bohaterskiej załogi „Czeluski”, kto zainteresował się ostatnimi ustawami o wiekicim o „Obronie Ojczyzny”, widzi, że Rosja Sowiecka staje coraz bardziej siłą biegu wypadków, siłą dokonywujących się przeobrażeń, na granicy, gdzie zaczyna się nacjonalizm.

Ekspansja komunizmu musi pociągnąć opadając. Była ona tym odruchem samoobrony, która kazała kiedyś ruchowi Wielkiej Rewolucji Francuskiej rozpocząć erę podbojów, epokę przelewania krwi na polach Europy. Była ona podobną akcji faszystów i hitlerystów, które podobnie, jak rosyjski bolszewizm, są niemożliwe do przeszczerpienia ich w formie macierzystej do innych krajów, choć niewątpliwie wszystkie te ruchy w mniejszym lub większym stopniu muszą zaważyć

na rozwoju myśli i polityki narodów współczesnych.

Wyszła ostatnio z druku, dwutomowa książka Bruno Jasińskiego p. t. „Człowiek zmienia skórę”. Książka pisana po rosyjsku wyszła w polskim przekładzie. Nie była przeznaczona wyłącznie na eksport, raczej dla Rosji. Ma więc większą wartość, bo pisząc po rosyjsku dla Rosjan można dać dużo propagandy, ale nie dużo kłamstwa. To też książka robi wrażenie szczerzej i bezpośrednio. Ukończona latem 1933 roku interesuje bardziej, jako dokument przesunięć i przemian, jakie się dokonywały w Rosji, mniej, jako praca literacka. Obciążają ją niemożliwie długie opisy, pewne niekonsekwencje w konstrukcji, zresztą in tenusujące.

Książka jest właściwie opisem jednej z „robot szturmowych” nawadniania olbrzymiego kraju nad granicą afgańska. Opis jest pierwszorzędnym. Umiejętnie uwydatniony został nastrój, który umożliwiał narzucenie gromadom ludzkim pracy niesłychanie ciężkiej, w najpodlejszych warunkach.

Nie jest to praca przy muzyce, praca bez kłopotów, ale prawdziwa robota szturmowa, w upale i kurzu, bez narzędzi, pośród ciągłych zawodów, niedokładności administracji, czasem buntów, napałów, lub wręcz sabotażów. Opis jest twardy, surowy, bez przejaśkrawień, bez tklivosti. Na tle tej walki niektóre postaci ludzkie naprawdę olbrzymie, naprawdę nabierają cech bohaterskich. Wzruszającym jest prosty opis śmierci robotników, którzy bronią otwarcia tamy, mając zniszczyć cały plon wielomiesięcznej pracy.

Tłem akcji jest sabotaż, któ-

*) BRUNO JASIENSKI: „Człowiek zmienia skórę”. Nakładem „Mety”. Tom I, str. 360, tom II, str. 343.

Janusz Kawecki

Z cyklu: Lutnia ziemieńska
Deszcz przelotny

Wiatr skoczył w sad i upadł w agresty przy płocie,
zerwał się, trzasnął w śliwy i poleciał dalek.

— Cicho, cicho, ci... W chmurach burkło, jak w żywocie!
Błysnęło. Grzmi! Duch wszelki Pana Boga chwali!

Deszcz siepnął się po strzesze, na ziem chlusnął strugą,
plusnął falą do proga, w szyby się rozbrzęczał.

— Zerknij, córuchna, czy się zaniósł na długo?
Mija? Przeszedł i przestał. Znowu słońce? Tęcza!

Gdzie kostur? Pójdziem sobie, córuś, do ogroda.
Jak rzeźwo, jaki zapach! Nieba nie nie plami!
Brzoza, dopiero płaczka, teraz panna młoda:
trzęsie kosi i cała śmieje się blaskami!

rym kieruje zresztą inż. Murri i płk. Bailly, w jednej osobie. Ma to być wysłannik angielskiej Intelligence Service. Przybył z kilkoma inżynierami amerykańskimi na robotę i rozpoczął swe prace.

Główny bohater akcji, inż. Clarke, przez pracę nabiera szacunku dla Rosji, i jego niejako oczyma oglądamy to, co się wokoło dzieje.

„Robota szturmowa” i sabotaż — to właściwe linie akcji, pospolitej zresztą w sowieckiej beletryście, reszta to uzupełnienie. Szerzej drobnych epizodów, dobrze zarysowanych, trafnych, udanych.

Ciekawa jest ogólna koncepcja powieści, jej sens. Przez pracę najbardziej wytężoną mamy poznać człowieka, odkryć jego siłę i charakter. W pracy człowiek nie może czuć się automatem, mechanizmem, częścią maszyny. Musi ją wykonywać sprawnie i świadomie, ale nie mechanicznie. Na każdym polu musi umieć pracować, mieć siłę zaczynania od początku, gdy tego potrzeba dla dobra ogółu.

O ile zarysowane tutaj stosunki pracy mogą budzić sympatię dla tej zaciekłości i zawziętości wykonywania pracy, o tyle budzą wielokrotnie wstręt, choć tylko zlekka zarysowane, stosunki z zakresem życia rodzinnego.

Kobietę sowiecką uczyniono wolną. Matężństwo pojęto jako zgodę, umowę dobrowolną. Wprowadzono rozwody na życzenie każdej ze stron. Wszystko to w imię uczciwości, w imię wolnego doboru i zniesienia znienawidzonego przymusu w życiu seksualnem. I co się okazuje? Uświadomione członkinie partji stają się zwykłymi, ordynarnymi rozpustnicami, gotowymi służyć swoim ciałem dziś temu, jutro innemu mężczyźnie, który działa na ich zmysły. Poto, zdaniem ich, dokonała się rewolucja?

„Koniec końców rewolucja — to nie jest wielki post i komunizm — to nie klasztorne wyrzeczenie się doczesnych wygod. Przeciwnie, to — walka o to, żeby nie kupie uprzywilejowanych, a wszystkim dawało życie więcej radości i rozkoszy. Pokolenie nasze oddało tej walce najlepsze swe lata: pięć lat cierpień i wyrzeczenia się wszystkiego. Pięć lat, na procenty od których żyć będą przyszłe pokolenia” (str. 102, tom drugi).

Oto słowa jednej z kobiet. Więcej radości życia i rozkoszy. Rozkoszą nurzania się w bagnie. Nie dziwnego, że kończy się to nienawścią do życia i samobójstwem, plagą dzisiejszej Rosji. Co wskazuje, jak wiele jeszcze jest tam zlego.

Nowe warunki odmieniają ludzi, można zdobyć się na większy lub mniejszy wysiłek, przystosować się, zmienić skórę — ale nie może człowiek zmienić swojej duszy. Tu onó jest nie do przełamania.